

Elektryka prąd nie tyka



Tak przynajmniej mówią a ja nie mam podstaw, żeby nie wierzyć. Pan Darek, który przy okazji każdego remontu grzebie w moich domowych instalacjach ma się świetnie.

Czyli muszą istnieć ludzie, których prąd lubi a ponieważ świat nie znosi pustki, muszą być też tacy, których prąd ma w głębokiej pogardzie. I ja Wam zaraz udowodnię, że należę do tej drugiej kategorii i jestem jaskrawym przykładem prądowej nietolerancji, by nie powiedzieć dyskryminacji.

Jeśli komukolwiek walnie żarówka przy włączeniu światła to zawsze jestem to ja. Strzelają sobie te żarówki radośnie w kuchni, sypialni, w łazience, na klatce schodowej a nawet w akwarium. Regularnie wysadzam też korki a zapewniam Was, że nie robię niczego podejrzanego. Co więcej, niezrozumiała nienawiść prądu do mojej skromnej osoby rozciąga się na wszystkie urządzenia, które ten piekielnik ma w swojej władzy. I oczywiście zawsze wszystko się sypie w najmniej oczekiwanym momencie.

Kiedyś nowy piekarnik nawalił, to znaczy tuż po zamontowaniu zwyczajnie nie ożył . Dzwonię na infolinię, mówię co i jak.

– Ale to nie ma prawa się zepsuć proszę pani – odpowiada pan technik.

Zęby zaciskam, podążam za wskazówkami technika i oczywiście nic z tego nie wychodzi. Po kilku dniach przychodzi serwisant. Drapie się po głowie, myśli, kombinuje.

– Programator by nawalił? Ale w nowym? Niemożliwe.

No jak niemożliwe, jak możliwe? Nie takie rzeczy są dla mnie możliwe. Panie kochany ja nawet umiem tak kanał w telewizorze przełączyć, że jest czarny ekran a dźwięk słychać, albo tak, że jest obraz jednego kanału i dźwięk z poprzedniego! A czasem pilot kompletnie nie reaguje na moje polecenia. Rzucam się wymieniać baterie a w tym czasie mąż przechwytyje owo szatańskie urządzenie i spokojnie zaczyna zmieniać kanały. A ja stoję w progu pokoju z bateriami w garści i przekleństwem na ustach.

A wracając do piekarnika. Pan serwisant wymienił niesprawną część, zademonstrował, że wszystko działa i sobie poszedł. Cała zadowolona postanowiłam go włączyć. I co? Korki huknęły aż miło. Doprowadzona do furii dzwonię po pomoc do pana Darka.

– Oj pani nic nie rusza, bo to jak nic jakieś zwarcie.

No więc nie ruszam. Po godzinie zjawia się elektryk. Włącza jednym palcem piekarnik a korki w milczeniu współpracują. Pan Darek zagląda w ich czeluść i chwilę coś tam sprawdza.

– Ale tu wszystko w porządku jest – mówi, a ja wiem, że uważa mnie chyba za wariatkę, tylko przez grzeczność nic nie mówi.

Czasami psuję coś tak, że pada na amen, tak jak mój stary laptop. Ot zgasł sobie i po nim. No to ja w lament, bo jak pisać bez komputera? Mąż, jak zwykle przy okazji moich awarii elektryczno-elektronicznych jest gdzieś tam w świecie w

delegacji. Dzwonię, jęczę, pytam retorycznie – jak żyć?

– Stary był, miał prawo się zepsuć – kwituje mąż, chyba głównie po to, żeby babskich lamentów nie słuchać.

Sprzęt faktycznie nie młody, naprawiać pewnie się nie opłaca. Zapada decyzja. Kupujemy nowy. Stary walnęłam do jakiejś szafki i więcej do niego nie wracałam, choć w środku zostało parę rzeczy, które wolałabym odzyskać. I tak z rok zleciał. Pewnego dnia mój mąż szukał czegoś w rzeczonyj szafie i przy okazji odnalazł stary komputer.

– O! Zupełnie o nim zapomniałam – ćwierkam radośnie. – Może by go tak dać do jakiegoś magika od odzyskiwania danych?

Mąż bez słowa wyciągnął zakurzony sprzęt i ustawił na stole. Nacisnął jeden przycisk a komputer bez protestu ożył. Mąż popatrzył na mnie dziwnie i chyba nawet trochę poczerwieniał na twarzy. A komputer odziedziczyła moja mama. Służy jej bez najmniejszego problemu 😊

Psuję aparaty fotograficzne, suszarki, blendery, wszystko co ma związek z prądem. Gdy jedziemy gdzieś samochodem, to mąż patrzy z obawą za każdym razem, gdy mój palec zbliża się do radia. Ale to wszystko to pikuś w porównaniu z tym co mam z telefonami. Ciągłe się psują, zawieszają, coś im się kasuje, same dzwonią albo nie dzwonią wcale. Budzik dzwoni kiedy chce, albo nie dzwoni w ogóle. Czasem dostaję sms-y po roku od wysłania go przez nadawcę a bywa, że moje nigdy nie docierają do adresata.

Kojarzycie taki sen, że się biegnie i stoi w miejscu, albo porusza się bardzo wolno? I oczywiście prawie zawsze ktoś groźny nadbiega z tyłu. No to ja regularnie śnię taki koszmar, że muszę gdzieś zadzwonić i to jest sprawa życia i śmierci. I oczywiście stukam palcem w telefon, otwiera się milion rzeczy, ja się przez nie przedzieram, czas ucieka i nie mogę zadzwonić. Koszmar, mówię Wam ☐

Nietrudno więc zgadnąć, że swój elektroniczny numer stulecia wywinęłam właśnie przy pomocy telefonu. Tego zdradzieckiego, cholernego telefonu.

A było to tak. Jakiś czas wcześniej, przed właściwą akcją, poznałam przemiłą dziewczynę, mieszkającą w Polsce Irlandkę. Poznałyśmy się przez naszych mężów, którzy to z kolei poznali się w sferach zawodowych. Dziewczyna nie miała wówczas zbyt wielu znajomych, więc przyłgnęła do mnie od razu. Co tu dużo gadać, polubiłyśmy się od pierwszego wejrzenia. Dwa razy umówiłyśmy się na mieście aż przyszedł czas na „udomowienie” nowej koleżanki. Umówiłyśmy się, że przyjedzie do mnie (wraz z małym synkiem w wózku) metrem i przechwycę ją na stacji metra. Przed wejściem na swoją stację miała mi puścić sms-a, że już jedzie.

No i super. Chałupa wysprzątana, lasagne w piekarniku czeka na podgrzanie. Przychodzi sms, więc powoli się ubieram, jednocześnie pisząc wiadomość, że zaraz wychodzę. W połowie pisania telefon zaczyna wariować. Ale jak malowniczo! Wyłącza się i włącza raz za razem. W kółko i bez końca.

Zadowolona z własnego pomysłu wyjęłam dziadowi baterię. Poczekaliśmy chwilę, zamontowałam ponownie. Telefon ożył... i po chwili powrócił do niekończącego się resetowania. Czas mijał, więc wrzuciłam wyśpiewujący bez końca melodyjkę startową telefon do torebki i pobiegłam do metra. Czekam. Wjeżdża jeden pociąg, potem drugi, trzeci. Jak okiem sięgnąć żadnej dziewczyny z wózkiem. Wyszłam na schody, przy których miała na mnie czekać. Chwilęostałam, oczywiście cały czas mocując się z telefonem. Potem uznałam, że muszę natychmiast wracać do domu i odzyskać utraconą łączność z koleżanką przy pomocy telefonu stacjonarnego. Wbiegłam z rozwianym włosiem do domu, łapię za słuchawkę i w tej samej chwili spływa na mnie bolesna świadomość. Przecież jedynym miejscem, gdzie jest zapisany numer Irlandki jest szalejący bez chwili przerwy telefon. Opadły mi ręce, ale umysł gorączkowo zaczął szukać rozwiązania. Mam! Zadzwoń do męża, który w tymże czasie

przebywał na arcyważnym szkoleniu gdzieś w Anglii. On pewnie ma w swoim telefonie numer do niej! Przytykam paluch do klawiatury.

Eeeee... więc właściwie to jaki numer jest do niego?

Rzuciłam się do teczki z dokumentami, wytrząsam papier za papierem na podłogę. Jest! Umowa abonencka, niżej numer. Wklepuję. Dzwonię. Poczta się włącza. Dzwonię ponownie. Nie odbiera. Kolejna świetlana myśl – sms-a mu wyślę, że bardzo ważną sprawę mam. Oh wait... sms-a stacjonarnym? Może jeszcze selfika sobie strzelę? Zaśmiałam się ponuro i właściwie nie bardzo wiedząc co dalej ze sobą robić, zaczęłam raz za razem bezmyślnie wstukiwać mężowski numer. A nuż się uda?

Co w tym czasie działo się u koleżanki? Otóż puściła mi sms-a, że jest, że po drugiej stronie stacji widzi windę, wjedzie na górę, i tam się spotkamy. Zaniepokojona moją nieobecnością i milczeniem postanowiła zadzwonić do mojego męża, ale potem sobie przypomniała, że nie ma do niego numeru. Zadzwoniła więc do swojego męża, który był na arcyważnej konferencji w Stanach. Mąż też się zmartwił co się ze mną stało i zadzwonił do mojego męża do Anglii. Ten, jak się domyślacie zaczął wydzwaniać na moją komórkę, która dalej skręcała się w konwulsjach na kuchennym blacie. Na stacjonarny nie miał prawa się dodzwonić, bo przecież ja, jak nienormalna dzwoniłam do niego. Co więcej, coś kiedyś w nim popsułam i jak ktoś dzwonił a było zajęte, to od razu włączała się poczta głosowa.

Zdenerwowany mąż postanowił więc zadzwonić do mojej matki, która oczywiście natychmiast zaczęła dzwonić do mnie na komórkę i na stacjonarny i podobnie jak mężowi – nic jej z tego nie wyszło. Postanowiła więc zadzwonić do mojej siostry. Siostra niewiele myśląc założyła buty i przybiegła do mnie, cały czas próbując rzecz jasna dodzwonić się na moją komórkę i stacjonarny.

Siostra zastała mnie nad setną próbą dodzwonienia się do męża.

Wpadła z obłędem w oczach i od progu wysapała.

– Żyjesz?

Żyłam, a jakże, właściwie to wewnętrzna furia tak mną targała, że żyłam bardziej niż zwykle 😊

Namierzyłam jej telefon i rzuciłam się jak harpia. W połowie lotu zorientowałam się, że przecież siostra nie może mieć numeru do mojej koleżanki, której nawet nie zna. Zadzwończyłyśmy więc do mojego męża do Anglii, który zadzwonił do męża koleżanki do USA a tamten podał numer, który potem przyszedł do mojej siostry sms-em z Anglii 😊

Po przeszło godzinie międzykontynentalnych poszukiwań zlokalizowałam dziewczynę po drugiej stronie stacji metra. Pobiegłam jakby mnie diabeł gonił, osierocając restartujący się telefon tam, gdzie go poprzednio rzuciłam. Siostra popukała się wymownie w czoło i poszła do domu. A ja gnając chodnikiem myślałam, że w sumie to szczęście, że mój telefon daje tak wyraźne dowody swojego szaleństwa, to pokażę go koleżance, żeby nie myślała, że jakaś psychiczna jestem. Ujrzałam ją koło windy, już dobiegając do niej zaczęłam się kajać i opowiadać co cholerny telefon mi wyciął. I jeszcze rzuciłam coś w stylu, że pokażę jej ten fenomen, gdy tylko dotrzemy na miejsce.

Wchodzimy do mieszkania. Odruchowo spojrzałam na zdradziecki telefon. Leżał sobie cichutko na kuchennym blacie. Zamrugałam oczami z niedowierzaniem. Usadziłam koleżankę nad kubkiem herbaty z mlekiem i drżącą ręką sięgnęłam po telefon. Spróbowałam włączyć i uwierzcie mi, że nieomal odetchnęłam z ulgą, gdy nic się nie stało.

– Baterię wyjmij – poradziła znajoma.

Tak też zrobiłam, jednocześnie opowiadając jej, ileż razy czyniłam to wcześniej. Po chwili telefon mrugnął do mnie

filuternie i pisnął informacyjnie, że jest w stanie pełnej gotowości do działania. Zamarłam a on w tym czasie zaczął raz za razem generować dziwne dźwięki.

– Aha! – powiedziałam triumfująco a po chwili się zamknęłam, gdy tylko dotarło do mnie, że to hurtowo spływają powiadomienia o setce nieodebranych połączeń 😊

Aby przerwać tę ze wszech miar krępującą scenę zaczęłam wyciągać talerze.

– Upiekłam dla ciebie pyszną lasagne – powiedziałam chcąc zamazać w pamięci trudne początki tego spotkania.

Koleżanka się nie skarżyła, ale po godzinnym czekaniu przy stacji metra po prostu musiała być głodna. Rzuciłam się do piekarnika i włączyłam go.

A potem rozległ się huk wysadzonych korków ☐